MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok V. Warszawa, 7 Lutego 1925 r. № 6.

TREŚĆ NUMERU: Morze — *Jan Zamorski.* Nasze czytelnictwo — *Z. Wasilewski.* Ewolucja marjawityzmu — *Asper.* Masonerja żydowska. Podejrzane pochwały. Pod wszechwładnym znakiem reakcji... Ochrona nazwisk p lskich — *Tadeusz Potocki.* Hurrademokratyzm — *St. Pieńkowski.*



Cena numeru 25 groszy.

Pamiętam, gdy byłem jeszcze młodzikiem, w owych szarych, pustych czasach rozmaici mędrkowie pisywali książki o tem, jak to kiedyś pociągi i samochody będą prędko jeździć i że cały świat będzie jednem wielkiem państwem i że zostaną zaprowadzone koleje elektryczne na księżyc. A ja sobie wtedy mówiłem: „Daleko ciekawszem byłoby, żebyśmy mieli znowu wojny krzyżowe, albo żebyśmy zaczęli znowu czcić bóstwa miast".

Gilbert Keith Chesterton

„Napoleon z Notting-Hill".

MORZE.

Nareszcie po kilku wiekach zapomnienia i całkowitego niezrozumienia sprawa morza polskiego zaczyna być przynajmniej uznawaną przez społeczeństwo, a w niektórych jego kołach prawie popularną. Zasługa to mniej polityków niż literatów.

Z polityków tylko bardzo nieliczne koła jeszcze podczas wojny stawiały twardo i śmiało postulat własnego morza, jako warunek prawdziwej niezależności państwowej. Ale były tak odosobnione i nierozumiane, że spotykały się w gronie innych polityków z politowaniem, pobłażaniem, a często śmiechem i drwinami. Być może, iż działała tu niewiara w możność pokonania Prus i odebrania im tej części polskiej ziemi, która sama jedna może dać Polsce przystęp do morza. Ta niewiara to przekonanie o niezwyciężoności potęgi pruskiej, kazały uważać ludziom „rozsądnym i zrównoważonym" postulat polskiego wybrzeża za fanfaronadę, romantyzm, albo licytowanie się, a nie za realne żądanie. Możnaby powiedzieć, że dostaliśmy skrawek brzegu morskiego wbrew przekonaniu i pragnieniom olbrzymiej większości naszego narodu.

Ale ten brak przekonania i pragnień wynikał nietylko z niewiary w możność uzyskania własnego brzegu — był on także i wynikiem nierozumienia sprawy. Gdyby bowiem podkładem żądań było tylko ograniczanie ich do tych rozmiarów jakie w danej chwili uważało się za możliwe, to rozumienie morza byłoby kazało tym skromnym w wymaganiach politykom postawić w programie na dalszą przyszłość obliczonym, plan dążenia do własnego morza za wszelką cenę, chociażby ten plan miał być urzeczywistnionym w bardzo odległej przyszłości. Tego nie robiono. W chwili powodzenia mówiono o granicach z 1772 roku, ale nie mówiono o morzu. Zdaje się, jak gdyby większość naszych polityków uważała, że przy sprzyjających okolicznościach Polska powinna zwrócić swoje oczy na Dniepr i tam szukać swego posłannictwa. Nie widać natomiast upartej, niewzruszonej, wytrwałej i powszechnej dążności do utrwalenia się nad morzem i w razie pomyślnych warunków do rozszerzenia się nad niem. Morze stało się odświętnym frazesem ale jeszcze nie żywotną potrzebą duszy polskiej.

Niemniej i tak jak jest, jest już nieco lepiej. Przynajmniej w słowach wyrośliśmy z psychiki ostatnich trzech stuleci, która kazała lekceważyć i omijać „burzliwe morze", gdy się spokojnie „ziemię orze".

Zaczynamy nabierać sentymentu do morza. Od chwili, kiedy Żeromski ogłosił swój „Wiatr od morza", literatura zajęła się morzem. Morze stało się prawie modą literacką. Ponieważ my na ogół mamy skłonność do literackiego ujmowania kwestji gospodarczych, politycznych, społecznych i państwowych, literaci nasi, wprowadzając tę modę, spełnili dobrze swój narodowy obowiązek.

Stąd poszła moda wyjeżdżania latem na brzeg naszego własnego. polskiego morza. Biurokraci i pensjonarki przywożą z tych wilegiatur dużo wspomnień i przywiązania do morza, a nawet trochę dumy narodowej: „I my nie ostatni, bo mamy własne morze".

I dobrze jest, że tak jest.

Ale to nie wystarcza. Poetyczne nastroje mogą wystarczyć poetom, przyjemności plaży pensjonarkom., czy kobietom, żądnym wrażeń moralnych i fizycznych. To jest droga do zrozumienia morza, ale to nie jest jeszcze zrozumienie morza.

Wszyscy powtarzają, że morze ma nieocenioną i nie do zastąpienia wartość gospodarczą. Powtarzają, ale nic w tym kierunku nie robią. Zawiązano co prawda kilka stowarzyszeń żeglugi, ale te nie mogą ruszyć z miejsca, a ogół publiczności nic o nich nie wie. O ile można wnioskować z opowiadań, między temi stowarzyszeniami już toczy się walka podjazdowa, której celem jest nie wybicie się jednego z nich na wierzch przez zapobiegliwość, pracę i przedsiębiorczość, lecz utrącenie innych. Zamiast zdrowej konkurencji mamy brak konkurencji, ale za to podstawianie sobie nóg. I wygodnictwo Jedno z tych stowarzyszeń dla wygody odstąpiło swoie prawa Norwegom i daje im polską firmę. Norwescy armatorzy, norweskie okręty, norweski zarząd i załoga, ale za to, dźwięczna,. po europejsku stylizowana, polska firma. Prezes: Polak rosyjski z Moskwy.

Zdaje się, że przyczyną tego smutnego stanu rzeczy jest rolniczy, ukrainny atawizm, oraz niechęć do uczenia się od innych, pokrywana dylatancką fontaronadą, że my to sami lepiej zrobimy od innych. Taka pyszałkowatość czy dudkowate zapatrzenie się w siebie jest najgorszą przeszkodą w doskonaleniu się i rozwoju. Pierwszym warunkiem prawdziwego postępu jest zdanie sobie sprawy z własnych braków, bo tylko ta świadomość daje możność uzupełnienia braków.

Powiedzmy sobie wyraźnie, że jesteśmy laikami w sprawach morza i że w tych sprawach musimy wszystkiego się uczyć. A uczyć się trzeba od mistrzów. Między narodami cywilizowanymi są takie, które zrozumienie morza mają we krwi od tysiącleci i takie, które tego zrozumienia nabrały przez planową pracę i doświadczenie. Morskim narodem z urodzenia i rasy są Grecy. Ale wskutek zdarzeń politycznych naród grecki zachował do dzisiaj charakter prymitywu morskiego, niezorganizowanego nowożytnie. Jest w nich dusza morska, ale niema nowożytnej. organizacyjnej koncepcji.

Tę wyższość mają nad Grekami Włosi. Marynarze od dwóch tysięcy lat, zżyci z morzem tak jak Grecy, planowo i umiejętnie opanowali wschodnią część Morza Śródziemnego, wraz z Egejską i Czarnomorską odnogą, a obecnie rywalizują z Francją o przewagę na zachodniej połowie Morza Śródziemnego. Za to komunikacja wszechświatowa krajów śródziemnomorskich z całym światem, tak przez Suez, jak przez Gibraltar

jest monopolem włoskiej służby morskiej. Dusza żeglarska, zaprawiona do wielkich rzutów przez Wenecję, Genuę, Neapol, znalazła w nowożytnem państwie formy i środki do opasania swoją energią środkowego, przyzwrotnikowego pasa kuli ziemskiej. Ocean Indyjski, południowy Atlantyk i t. d. nabierają cech morza włoskiego. Tam, gdzie samodzielność państwowa nie dopuszcza flagowego monopolu Włoch, tam włoscy marynarze pełnią służbę pod obcą flagą. Marsylia, Tulon, Argentyna i t. d.

O tej ogromnej koncepcji włoskiej my wiemy niewiele, albo i nic, ponieważ drogi nasze za Ocean idą szlakami północnymi. Ale dobrze jest o tem wiedzieć, a jeszcze lepiej byłoby pójść do Włoch po naukę.

Inne narody nabyły wyczucia morza później. Holendrzy, Norwegowie, Anglicy, w końcu Niemcy zdobyli sobie w ciągu ostatnich stuleci zrozumienie morza, którego w tym stopniu nie mają Francuzi, mimo tak szczęśliwego położenia nad Oceanem i nad morzami wewnętrznemi.

Najbardziej pouczającym dla nas jest przykład Niemiec. Tam tylko miasta Hanzeatyckie, jak Hamburg, Brema, Lubeka, Altona, Wismar, Rostok Szczecin i t. d. rozwinęły już oddawna u siebie tak psychikę jak i organizację morską. Niemniej jednak ogół Niemców aż prawie do ostatniego półwieku został lądowym, a nie morskim w swojem wewnętrznem usposobieniu. Niemcy rozwinęli u siebie ducha kolonizatorskiego, skolonizowali w historycznych czasach olbrzymie ziemie od Salawy i Łaby na wschód, ale potrzeby morskiej ekspansji nie odczuwali. Dopiero kiedy cesarz Wilhelm II zapowiedział, że przyszłość Niemców leży na morzu, cały naród niemiecki skwapliwie rozszerzył własną duszę na zrozumienie, ogarnięcie i wykorzystanie tej nowej dziedziny duchowej i gospodarczej. Niemcy stali się wkrótce niebezpiecznymi konkurentami Anglików na oceanach. Ruch pasażerski między północną Europą, a Kanadą i Stanami Zjednoczonymi opanowali zupełnie Dziś Stany Zjednoczone nie mogą się na Atlantyku północnym usamodzielnić od Niemiec, a jeżeli tu i ówdzie spróbowali utworzyć własną kompanię żeglugi pasażerskiej, musieli Niemców brać na dyrektorów przedsiębiorstwa.

Niemiecki postęp w tej dziedzinie jest nadzwyczaj pouczający. Rozumna wola i praca przeobraziła w naszych oczach, a raczej wzbogaciła i rozszerzyła psychę narodu niemieckiego o jeszcze jedną dziedzinę działalności ludzkiej. Jest to dowód, że i my możemy, o ile silnie będziemy chcieli, wytworzyć w sobie ten nowy zmysł, którego dotąd brakuje naszemu narodowi, a który jest niezbędny dla rozszerzenia i ugruntowania naszej samodzielności, oraz dla skompletowania naszej jednostronnej natury. Trzeba literackie upodobanie w morzu rozwinąć i zamienić na pełny zmysł morski.

Jan Zamorski.

NASZE CZYTELNICTWO.

W Polsce mamy trzy typy czytelnika gazet i trzy typy prasy.

Galicyjska prasa, wzorowana na wiedeńskiej, ma czytelnika politycznego. Góruje tam nerw obywatela, świadomego swych praw wyborczych w sensie czynnym i biernym ze wszystkimi przymiotnikami, dającymi mu poczucie tajności, bezpośredniości, powszechności i t. p.

Prasa wielkopolska, wzorowana na berlińskiej, ma charakter korespondencji handlowej z czytelnikami. Czytelnik to reprezentant domu i warsztatu, człowiek interesu, nie zepsuty rozrywkami, traktujący bibułę serjo i we względzie informacji i użytku domowego; czytelnik, mający kulturę pracy, o której wie, że złączona jest transmisyjnie z tysiącem innych warsztatów w kraju i zagranicą, a więc czytelnik, dla którego gazeta jest potrzebą codzienną.

O galicyjskim czytelniku jeszcze to trzeba powiedzieć, że rozbawił się za czasów austrjackich w Wiedniu. Z każdego punktu Galicji patrzał w stronę Wiednia jak na ekran, gdzie ukazują się wesołe przezrocza. Jego ojce uczyli się się czytać na dziennikach wiedeńskich, potem przyszły polskie, transponowane z niemieckiego. Żydzi w Galicji do dziś dnia czytają dzienniki wiedeńskie. Tego lata, gdym jechał z Kosowa do Kołomyi na Pokuciu, żyd z jakiegoś sklepiku wiejskiego, biegnąc za powozem, prosił mego woźnicy, aby wracając, przywiózł mu z miasta „Neue Wiener Zeitung“, czy coś podobnego.

Ponieważ w Galicji już od dłuższego czasu istniała ustawa o powszechnem prawie wyborczem, więc zdążył wyrobić się tam swoisty typ przemysłu gazetowego, obliczony na czytelnika, któremu na imię miljon, przynajmniej dziesięć tysięcy. W ostatnich latach rozgrywał się w Galicji konkurs między dziennikami, który z nich liczniejszego znajdzie czytelnika. Odbywało się to kosztem przyzwoitości umysłowej i obyczajowej z niesłychaną krzywdą dla kultury, zdobytej mozołem kościoła, szkoły i oświaty pozaszkolnej. Współzawodnictwo na polu oszustwa i chamstwa musiało wycofać ze szranek dawniejsze dzienniki, obliczone na inteligencję. Pozostały na placu dzienniki ilustrowane, szerzące teraz podbój w b. Kongresówce. Wzory tej prasy żydowsko-wiedeńskiej, przystosowane do smaku wielkomiejskiego proletarjatu, u nas zagarniają cały kraj z bogobojną wsią, stając się jego szkołą.

Na ziemiach b. zaboru rosyjskiego rozpoczęło się dopiero teraz po zyskaniu niepodległości poszukiwanie czytelnika. Szukać go trzeba ze świecą, więc powoli odbywa się tutaj jego deprawowanie. Na teren b. Kongresówki rzucają się od lat kilku przedsiębiorcy dziennikarscy z Galicji, ale bez wielkiego powodzenia. Co jest przeszkodą?

W jednym z ostatnich numerów „Temps“ korespondent z Warszawy stwierdza rys charakterystyczny tej dzielnicy, że

dzienniki mają tutaj mało czytelników. Zauważył, że chętniej czytane są książki niż dzienniki. Jako wydawca „Głosu" w latach 1895 - 1899 miałem sposobność ustalić sobie pogląd na czytelnictwo w tej części Polski. Wykaz odbiorców pisma w 10 guberniach Kongresówki, a więc na ziemiach zupełnie polskich obejmował, ile pamiętam, czwartą część ogólnej liczby czytelników. Trzy czwarte — to czytelnicy na wschodzie, w t. zw. ziemiach zabranych i w Rosji. Na zachód za kordon wysyłało się znikomy odsetek.

Polak nawet oświecony, w kraju, między swymi mieszkając, nie odczuwał potrzeby czasopisma, któreby go informowało o tem, co się dzieje, lub pouczało, co ma robić. Wystarczała mu w zupełności atmosfera swojska. Z niej brał dla siebie elementy odżywcze. Polak jest towarzyski, mowny, wylewny, co kto wie, to powie drugiemu i poinformuje i doradzi. Kraj gęsto zaludniony, stosunki gospodarcze dość łatwe, polityczne zaś nie budziły żadnej ciekawosci. Niczego już nie czekano, śmiano się z tych, co gazetom w czemkolwiek wierzyli, wiedząc, że nie wolno tego pisać, coby Polaka mogło zajmować.

Atmosfera społeczna potrochu zastygła, w myśl zasady samostarczalności. Cenzura zabiła prasę jako potrzebę życia duchowego, wytruła żywość zainteresowań. Czasopismo polskie stawało się czemś cennem dopiero dla tych, którzy od centrów kraju byli oddaleni, którzy się znaleźli poza atmosferą polską. Im dalej na wschód, tem silniejsza była tu potrzeba. Każdy z tak licznych osiedleńców w Rosji sprowadzał ważniejsze pisma z kraju i pilnie je czytał, podczas gdy często gęsto w zamożnych domach w Kongresówce nie było ani kawałka bibuły.

Wydawnictwa warszawskie, — zwłaszcza tygodniki, zawdzięczały swój byt czynnikowi romantycznemu czytelnictwa. Czytanie na wschodzie nie wynikało z interesu praktycznego, lecz z nostalgji, z tęsknoty, z przywiązania do kraju, było potrzebą uczuć patrjotycznych, było wciąganiem w płuca atmosfery rodzimej, gdy realnej brakło w środowisku. Z gazetą przychodziła mowa polska. Polak przez to, że rządzi się uczuciem, dowiaduje się, ile Polskę trzeba cenić, gdy ją straci z oczu. Wtedy widzi ją w całej ozdobie, bo tęskni po niej. Latarnik jednak Sienkiewiczowski, gdyby został w kraju, nie czytałby napewno „Pana Tadeusza".

Żydzi, gdyby mieli swoją ziemię, uprawiali ją i tak dobrze czuli się u siebie, jak Polacy, również obchodziliby się bez drukowanego słowa, umieliby się modlić bez książki. Ale oni wyrastają z książki, jest to ich ziemia przenośna. Żydzi są intelektualistami, pracują nie w ziemi, lecz w ludziach, mają wiele interesów, — muszą komunikować się stale słowem drukowanem. Oni też wszędzie jako interesowni czytelnicy wywierają nacisk na prasę swemi potrzebami, oni też najchętniej garną ją w swoje ręce, o ile gdzieś wydawanie dziennika przedstawia interes.

Jakiegoż więc mamy czytelnika na zi**e**miach b. zaboru rosyjskiego? Jaki to typ i jaka cyfra?

Czytelnik dopiero się rodzi. Wytworzyć go muszą nowe warunki życia w wolnej Polsce. W związku z tem, co mówiliśmy wyżej o psychologji dawnego czytelnika, uprzytomnić sobie trzeba, że obecnie czytelnictwa na wschodzie nie ma. Rosja przestała istnieć jako rynek czytelniczy.

A województwa wschodnie?

Jest faktem, że w r. 1920 katastrofa, wywołana wyprawą kijowską, zniszczyła tam czytelnictwo polskie. Jest faktem, że wydawnictwa warszawskie, obliczone na sferę oświeconą całej Polski (nie brukowe) utraciły wtedy 50 procent swoich nakładów. Utraciły wtedy czytelnika na wschodzie i do normy z r. 1919 dotąd nie wróciły: do tego stopnia tamte okolice zostały wyniszczone. Utraciliśmy wtedy jako naród wpływy duchowe, swoje promieniowanie ze stolicy na wschód. Nieliczny Polak oświecony, który tam pozostał, jest za biedny, aby mógł pisma sprowadzać z Warszawy. W tem większą estymę wzrósł czytelnik żydowski. Prasa warszawska straciła przez to wiele na sentymencie ideowym.

Nowego czytelnika prasa warszawska wabić będzie z kryjówki. Zobaczymy wkrótce, jaki on będzie. O tej prasie która się do niego bierze, pomówię osobno.

Z. Wasilewski.

Errata. W poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej" w artykule moim nie poprawiono paru błędów drukarskich: na str. 3 w w. 13 powinno być „Zaród bohaterskiego wysiłku" nie zaś „Naród, a w 2 w. od końca artykułu zamiast „systematycznie" — powinno być „syntetycznie".

Z. W.

EWOLUCJA MARJAWITYZMU

W jednym z poprzednich numerów „Myśli Narodowej" poruszono sprawę „hodurowców" i innych szerzących się dziś w Polsce sekt.

Dla uzupełnienia obrazu warto wspomnieć o działającej jeszcze mimo wstrząśnień i rozłamów sekcie marjawitów. Tymbardziej, że losy, tej sekty obfitują w szczegóły nader ciekawe i pouczające.

Nie będę powtarzał znanych anegdot o „założycielce sekty „mateczce" Marji Felicji Kozłowskiej, zajmę się tylko stosunkiem tej sekty do Polski. Z chwilą wystąpienia Kozłowskiej z objawieniami i potępienia ich przez Rrzym w r. 1904. Najwyższy Trybunał Papieski polecił odsunąć się od niej kapłanom, a biskupom dołożyć starań, by znajdujące się pod jej wpływem owieczki sprowadzić na drogę prawdy. Już wówczas Kozłowska i złączeni z nią księża Kowalski, Próchniewski i Gołębiowski poczęli czynić kroki o zatwierdzenie sekty u rządu rosyjskiego. W tym celu rozpoczęli starania zarówno u generała gubernatora warszawskiego, jak i w Petersburgu, popierając

swoje zabiegi petycjami mieszkańców różnych parafji katolickich, pragnących przejść na marjawityzm. Starania rychło odniosły skutek. Rząd zrozumiał doskonale, że każde odszczepieństwo w Polsce, każdy spór, rozbija naród i osłabia jego hart przeciw zakusom rusyfikacji. Dnia 6 czerwca 1906 r. Rada Ministrów uznała oficjalnie sektę marjawicką, a nowy kościół rzucił się odrazu w objęcia rządu, potrzebując jego poparcia przy zagarnianiu kościołów i posiadłości kościelnych katolickich. Przyszło do gorszących walk między Polakami: sfanatyzowani wyznawcy „mateczki" dopuszczali się gwałtów na księżach katolickich, wypędzając ich z parafji odbierając siłą kościoły. Władze rosyjskie patrzyły na to przez palce, a popi prawosławni zaczęli odwiedzać nabożeństwa marjawickie, na które też przybywali różni dygnitarze rosyjscy. Z wdzięczności za taką opiekę „Ojcowie" z „mateczką" urządzali nieraz wystawne przyjęcia dla urzędników rosyjskich, z przedstawieniami, na których śpiewano „Boże Caria chrani".

Dn. 5 grudnia 1906 r. kościół Katolicki ogłosił imienną ekskomunikę Kozłowskiej, Kowalskiego i pierwszych ich kapłanów. Teraz Marjawici z konieczności musieli się zająć organizacją swego kościoła. Narazie wiara ich nie różniła się niczem od dogmatów katolickich, z wyjątkiem objawień „mateczki", i oczywiście nie uznawania władzy papieskiej. Na tej podstawie weszli w porozumienie z Gulem, biskupem Jansenistów w Holandji i z kościołem staro katolickim w Niemczech. Janseniści też wyświęcili na biskupów Kowalskiego, Próchniewskiego i Gołębiowskiego.

Z czasem skutkiem nieustających objawień „mateczki" wiara marjawicka wzbogaciła się o całe mnóstwo dogmatów i proroctw, niezgodnych z wiarą katolicką, to też zaczęło szukać nowego systemu, aby wszelkie te dziwactwa w nim pomieścić i powiązać w całość. Arcybiskup Kowalski z najinteligentniejszymi swymi współpracownikami zaczyna studjować pisma Swedenborga, matka Izabela indyjskie misterja i czyny fakirów. Zetknąwszy się z pismami neo-gnostyków arcybiskup Kowalski nawiązuje stosunki ze Smoczennym Patrjarchą Gnostycznym Janem II (Joanny Bricaud) masonem i naczelnikiem Powszechnego Kościoła Gnostycznego, którego „legat" na Polskę p. Dr. Czesław Czyński znany pod pseudonimem *Punar Bhava* rezyduje w Warszawie, a prymas Rosji Jan Wyzniewski mieszkał w Moskwie. Stąd w wierze Marjawitów zjawia się naraz predylekcja do pism św. Jana i cała serja wierzeń gnostycznych, a nawet niektóre wierzenia dawnych heretyków jak n. p. Ofitów. Tymczasem z wybuchem wojny światowej Płock „Mekka marjawitów" został zajęty przez Niemców. „Arcypasterza" marjawickiego zmiana ta została przygotowanym. Zamiast Rosjan teraz przyjmuje Niemców, żyjąc z nimi w najlepszej zgodzie. W dzień Trzech Króli w 1918 r. arcybiskup Kowalski urządza przyjęcie dla miejscowej starszyzny niemieckiej, na którem dziatwa z ochronki marjawickiej popisuje się niemieckiemi wierszykami i śpiewem „Deutschland, Deutschland

über alles". Śpiewki dzieci z ochrony marjawickiej są zawsze, wskaźnikiem orjentacji sekty. Najpierw „Boże Caria chrani...". potem „Deutschland, Deutschland über alles...", a gdy piszący te słowa miał sposobność w towarzystwie kilku dygnitarzy polskich zwiedzić ochronę, dziatwa powitała nas śpiewem: „My pierwsza brygada..."

Ze zmartwychwstaniem Polski orjentacja kierowników sekty uległa radykalnej zmianie. Najście i klęska bolszewików, oraz śmierć mateczki (23 sierpnia 1921), wstrząsnąło nieco podstawami sekty. Sekta zaczyna się stawać „polskim" kościołem narodowym, wprowadzając do swych wierzeń urywki z pism Augusta Cieszkowskiego, Towiańskiego, Mickiewicza, Hoene-Wrońskiego i wogóle wszystkie teksty polskie, które są im wygodne. Pracą tą zajmuje się jedna z podpór sekty N. Filip Fedman (!!) zwany „aniołem Kościoła Filadelfijskiego". Po śmierci też „mateczki" zostają wprowadzone takie inowacje jak np. „małżeństwa mistyczne", polegające na faktycznem skojarzeniu węzłem małżeńskim „ojców" z „matkami", przyczem arcybiskup Kowalski pierwszy dał przykład tej reformy. Cała sprawa małżeństw mistycznych jest „Królewską Tajemnicą", tak jak wogóle cała nauka roi się od symbolów zapożyczonych z Apokalipsy lub... z rytuałów masońskich.

Jednak wiadomość o „małżeństwach mistycznych" nie przez wszystkich została jednakowo przyjęta. Część „ojców" poszła za przykładem arcybiskupa, część jednak zbuntowała się i po szeregu listów otwartych do arcybiskupa Kowalskiego przeszła bądźto na łono Kościoła Katolickiego lub też z ks. Ryttlem, Pągowskim i Modrzejewskim utworzyła nowy „Kościół Polsko-Katolicki". Również zaczęły się zdarzać wypadki odstępstwa wśród wiernych, nawet całych parafij jak w Okrzei, Sobótce i innych. W tych warunkach arcyb. Kowalski wydał z końcem lipca 1924 dwie odezwy, z których pierwsza „Wezwanie Wszystkich aby się zapisali do Księgi Żywota" wzywa wszystkich Chrześcijan, Żydów, Mahometan do zapisania się w księgi, znajdujące się w Świątyni Miłosierdzia i Miłości na Ołtarzu pod monstrancją. Druga odezwa, analogiczna „Do kapłanów katolickich" została skonfiskowana przez władze.

Jak widzimy, ewolucja sekty doszła już bardzo daleko. Jej arcypasterz otwarcie już ogłasza wprowadzenie żydów do jej szeregów. A przytem ów „ojciec" Feldman, „anioł filadelfijski". I te dziwne tajemnicze nici, łączące wyznawców „mateczki" z tajemniczemi również prądami i organizacjami międzynarodowemi.

Warto zapoznać się bliżej i głębiej zastanowić nad ewolucją sekty marjawickiej w Polsce.

Asper.

MASONERJA ŻYDOWSKA.

Mający również w Warszawie swą lożę, najsilniejrzy zakon masonerji żydowskiej „Bnei Brith“ czyli „Związek Braci“, urządził—jak podaje „Najer Hajnt” z 13 b. m. — w Berlinie wielkie przyjęcie na cześć bawiącego tam właśnie prezydenta Swiatowej Organizacji Sjonistycznej — Chaima Weitzmanna. Na bankiecie były obecne najprzedniejsze osobistości świata żydowskiego oraz wszyscy Bracia lóż. Przewodniczący zakonu dr. Beck powitał Weitzmanna mową, w której m. in. rzekł: „Dla nas, Braci lóż niemieckich da to wszystko co prof. Weitzmann zrobił w imię idei, szczególne znaczenie, podniety gdyż z Żydów niemieckich wyszły w ostatnim stuleciu najsilniejsze myśli żydowskie“. Weitzmann w dłuższej odpowiedzi m. in. powiedział: „Anglja i rząd pomagają nam w odbudowie kraju. Lecz nie mogą nam oddać Palestyny. To musimy zdobyć własnemi siłami“.

Przy tem „zdobywaniu“ trzeba ujarzmić obecną arabską ludność Palestyny, t. zn. 80 proc. wszystkich mieszkańców.

PODEJRZANE POCHWAŁY.

Znany ze swych niepomyślnych z punktu widzenia narodowego wystąpień, b. kandydat na prezydenta z ramienia „bloku mniejszości“ prof. Baudoiun de Courtenay w tych słowach charakteryzuje w żargonowem piśmie „Cajt“ (nr. 246) ministra bez teki Thugutta:

„Jest on istotnie jednym z rzadkich, najszczerszych krzewicieli polskiej myśli demokratycznej. Premjer Grabski nie mógł uczynić lepszego wyboru, jak naznaczając p. Thugutta ministrem i przekazując mu specjalnie rozwiązanie problemu mniejszości i sprawy kresowej. P. Thugutt jest nietylko szczerym socjalistą i demokratą, lecz także rozsądnym i praktycznym politykiem. Chce przeto rozpocząć pracę od najminimalniejszych posunięć naprzód, które jednak ruszą z martwego punktu przykre problemy mniejszości i kresów. Po tem zapewne nastąpią dalsze kroki w tej dziedzinie. Mniejszości przeto powinny cenić jego robotę i przyjść mu z pomocą wszelkiemi sposobami.“

POD WSZECHWŁADNYM ZNAKIEM REAKCJI...

„Weteran” socjaldemokracji niemieckiej i znany działacz żydowski dr. Edward Bernstein mówił niedawno na wiecu, zorganizowanym przez Poalej-Syjon w Berlinie: „Żyjemy obecnie—

zaczął — pod wszechwładnym znakiem reakcji, która dąży do niszczenia zdobyczy demokracji. Antysemityzm nosi na sobie piętno wstecznictwa i jest najlepszym odzwierciedleniem panującej obecnie reakcji. *Postrach, jaki antysemityzm rozsiewa wokól, jest tak wszechwładny, iż nawet najwięksi przeciwnicy antysemityzmu nie mają odwagi wystąpić przeciwko niemu.* Niemiecko-narodowi Żydzi idą po linji najmniejszego oporu, czyniąc antysemitom ustępstwa na każdym kroku. Sądzą, iż w ten sposób uda im się uiagodzić ostrze wojującego antysemityzmu. Niestety są w wielkim błędzie. Antysemityzmowi należy wypowiedzieć walkę bezwzględną i nieubłaganą bez żadnych ustępstw".

OCHRONA NAZWISK POLSKICH.

Akcja ochrony nazwisk polskich rozpoczęta metodycznie zaledwie przed miesiącem na łamach „Myśli Narodowej", rozszerza się i daje niespodziewane rezultaty.

Niestety, prawie na każdym kroku spotykamy się z niczem nieuzasadnionemi trudnościami ze strony urzędów państwowych! (polskich, a nie palestyńskich!).

Dla przykładu przytoczymy tu skargę przesłaną do Najwyższego Trybunału Administracyjnego w sprawie zmiany nazwiska Friedmann na Hoffman. Sprawa ta obfituje w szereg niezwykle ciekawych szczegółów, które poruszymy dokładniej w najbliższym numerze:

Warszawa, dn. 28 stycznia 1925 r.

Do Najwyższego Trybunału Administracyjnego
Rzeczypospolitej Polskiej.

W Nr 4 „Monitora Polskiego" z d. 7.I 1925 r. znajduje się ogłoszenie, iż „Nathan nieślubny syn Czarny Friedmann ur. 15 listopada 1878 r. w Drohobyczu i tam zamieszkały, kupiec, uzyskał zezwolenie na zmianę nazwiska rodowego Friedmann na nazwisko „Hoffman".

Wobec tego, iż w myśl Art. 1 Ustawy z dn. 24 października 1919 w przedmiocie zmiany nazwisk (Dz. U. R. P. Nr 88 poz. 478) „Zezwolenia na zmianę nazwiska obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej udziela Minister Spraw Wewnętrznych, zaś w danym wypadku zezwolenie na zmianę nazwiska jest oczywistem bezprawiem (gdyż, na mocy art. 4 tejże ustawy, protest był złożony we właściwym terminie przez osoby noszące nazwisko Hoffman, zaś „W razie zgłoszenia sprzeciwu przez osoby tego samego nazwiska, które proszący przybrać zamierza, zezwolenie nie może być udzielone"), przeto zaskarżamy decyzję Pana Ministra Spraw Wewnętrznych zezwalającą na zmianę nazwiska Friedmann na Hoffman i prosimy Najwyższy Trybunał Administracyjny o uchylenie tej decyzji, odebranie nazwiska Hoffman Nathanowi Friedmanowi i ogłoszenia o tem w „Monitorze Polskim".

Ten jeden dokument niech będzie świadectwem, jak trudną rzeczą jest w Polsce obrona własnego nazwiska przez osobę prywatną?

Tadeusz Potocki.

We wszelkich sprawach dotyczących ochrony nazwisk polskich wyżej podpisany przyjmować i bezinteresownie informować będzie w Redakcji „Myśli Narodowej” w soboty od g. 4—5 pp. Zamiejscowi listownie: „Warszawa, Zgoda 5—„Myśl Narodowa”—Tadeusz Potocki“.

* * *

Otrzymaliśmy list następujący:

Do Redaktora „Myśli Narodowej”, Warszawa, Zgoda 5.

Szanowny Panie!

Rozumiejąc doniosłość i użyteczność prowadzonej na łamach „Myśli Narodowej“ kampanji, mającej na celu ochronę nazwisk polskich przed przywłaszczaniem ich sobie przez żydów, pozwalam sobie niniejszem ofiarować do dyspozycji Szanownego Pana 10 złp. na pokrycie wydatków związanych z powyższą akcją.

Sądzę, że nie jestem jedynym, któremu leży na sercu ochrona nazwisk polskich, którą przecież podjąć trzeba na możliwie najszerszą skalę i że skromny mój przykład znajdzie naśladowców. Łączę wyrazy głębokiego poważania.

Wacław Zieliński.

Wyrażając serdeczną wdzięczność p. Wacławowi Zielińskiemu za szlachetną inicjatywę, informujemy jednocześnie, iż wydatki związane z akcją ochrony nazwisk pokrywa osobiście kierownik powyższego działu w „Myśli Narodowej“ p. Tadeusz Potocki. Otrzymaną ofiarę przekazujemy na budowę pomnika Bolesława Chrobrego w Poznaniu

Red.

HURRADEMOKRATYZM.

Demokratyzm ze wszystkiemi swojemi odmianami i odcieniami stał się od pewnego czasu modą w Polsce i, jak każda moda,—zgłupiał. W tej ostatniej jego odmianie demencyi idejowej można go jednem słowem najtrafniej nazwać hurrademokratyzmem. Od sześciu już lat w sejmie naszym, w polityce wogóle, w ruchach społecznych i umysłowych mieliśmy tysiące objawów hurrademokratyzmu, za które naród zapłacił i jeszcze długo płacić będzie dość drogo. Nie mam zamiaru przypominać ich tu i bodaj wyliczać. Wszyscy je zbyt dobrze znamy. Lecz nie od rzeczy będzie omówienie paru objawów tej mody w dziedzinach, gdzie najmniej możnaby się jej spodziewać — w nauce i sztuce. Że i tam mogła się zakraść, świadczy to nietyle o jej potędze mniemanej, ile o słabości uczonych i artystycznych umysłów, modzie ulegających.

Z wielu przykładów naukowego i artystycznego hurrademokratyzmu polskiego ostatnich czasów podam tu dwa typowe najświeższej daty — jeden z nauki, drugi ze sztuki.

W roku ubiegłym wśród wielu bardzo dobrych i pożytecznych książek, które wydaje Instytut Wydawniczy „Biblio-

teka Polska", ukazał się też tomik z zakresu popularyzacyi wiedzy p. t. „Historja naturalna jednego pierwotniaka, jako wstęp do biologji ogólnej". Autor — Jan Dembowski. Książeczka w wydawnictwie tanim, ale bardzo ładnie wydana i doskonale napisana. Autor jest rzetelnym uczonym i ma wybitny talent popularyzatorski — w najlepszem tego słowa znaczeniu. Słowem, mogę z najgłębszem przekonaniem gorąco tę pracę czytelnictwu naszemu polecić — całą od początku do... przedostatniego okresu włącznie. Ostatni bowiem okres rozumnej i pięknej pracy naszego uczonego ni stąd ni zowąd bije między oczy taką maczugą hurrademokratyzmu, że czytelnik wzdryga się nagle, jak od fizycznego urazu. Przeczytajmy ten okres:

„Zato, jeśli badanie się powiedzie, naprawimy przynajmniej w części tę wielką krzywdę, jaką ludzie wyrządzają pantofelkowi i jego współbraciom, uważając je za zwierzęta „najniższe", „pierwotniaki", „najprostszą formą życia" i t. p. W swej megalomanji człowiek uważa swoją osobę za szczyt stworzenia, napawa się swoją wielkością i mądrością, zamiast otworzyć oczy i przyznać otwarcie, iż jest on tylko jednym z wielu set tysięcy gatunków, z których każdy posiada coś szczytnego i każdy ma takie samo prawo do życia".

Zauważmy naprzód, że autor w okresie tu przytoczonym sam sobie przeczy. Już w tytule swej pracy z całym spokojem używa terminu „pierwotniak", któremu w ostatnim okresie przypisuje charakter ludzkiej megalomanji. Z całej zaś pracy autora jasno wynika, że w doświadczeniach swych z pantofelkami wcale z ich „takiem samem prawem do życia" się nie liczył, ale zabijał je, miażdżył, ćwiartował, truł i różnemi sposobami im dokuczał dla zadowolenia swej uczonej „ambicji" i ludzkiej „megalomanji".

Rzecz jasna, że bez tych objawów niewątpliwej wyższości człowieka nad pierwotniakiem i bez tych zbrodni uczonego nie mielibyśmy pięknej pracy p. Dembowskiego, ani wogóle nauki i jej wielkich pożytków. Autor ani w swych doświadczeniach przyrodniczych ani w teoretycznych rozmyślaniach nie zdradza nigdzie tego czczego i świętoszkowego sentymentalizmu, którym czuć okres ostatni. Zapytajmy więc, skąd tu nagle przyplątał się ten tak kompromitujący uczonego hurrademokratyzm? Nie mogę przypisać go umysłowi autora, bo z całej pracy widać, że jest on człowiekiem rozumnym i rozsądnym. Mogę go tylko przypisać narzuceniu zzewnątrz. I tu zbliżamy się do źródła wszelkiego hurrademokratyzmu.

Rozrośnięty na wiele stron polip życia współczesnego — anonimowa mafja żydowska za pośrednictwem socjalizmów, liberalizmów i masonerji z całą pedanterją w najdrobniejszych nawet okazjach wstrzykuje społeczeństwom gojów dawki różnych idej fałszywych, które dla mafji są pożyteczne. Do idej tych należy „takie samo prawo do życia", oraz demokratyzm, równający nietylko już wszystkie gatunki człowieka, ale nawet

wszystkie wogóle istoty, czyli hurrademokratyzm. Wiadomo, że za tem „prawem do życia“ i za tym zaciekłym i zaplutym demokratyzmem zawsze chowa się żyd, jak za tarczą bezpieczną. Bo skoro laseczník cholery ma „takie samo prawo do życia“, to oczywiście i żyd je posiada. Taki jest bieg rozumowania mafji w hurrademokratyzmie, który ten jedynie ma cel praktyczny, aby żyda przed domniemanem lub przewidywanem „prześladowaniem“ osłonić.

„Prawo do życia” jest czczością, z którą sam p. Dembowski w rozdziale „De omnibus rebus” swej pracy doskonale się rozprawia, choć go z nazwy wręcz nie wymienia. Autor jest „dobrej myśli“ na widok wojen, walk i wszelkiego współzawodnictwa bodaj krwawego — tak wśród ludzi, jak zwierząt. Uznaje to za rzecz konieczną i dobroczynną. Skąd więc nagle w ostatnim słowie pracy to „prawo do życia“, któremu wogóle nikt nigdy i nigdzie nie przeczył i nie przeczy?... ...i które nie ma nic wspólnego ze wzajemnem zabijaniem się i pożeraniem? Prawo do życia jest takim samym pleonazmem, czyli nonsensem jak prawo do oddechania, albo prawo do krążenia krwi, lub coś w tym rodzaju. Jakże człowiek rozumny i uczony może tak niemądrego zestawienia słów używać? Innego wytłomaczenia na to niema, jak tylko to, że autor tak czy owak otrzymał nakaz od masonerji, czy jakiejkolwiek innej organizacji, żeby przy każdej okazji i w każdej swej pracy wsuwał kilka zdań o „prawie do życia“ i innych hurrademokratyzmach. I taki biedny uczony nakaz spełnia skrupulatnie, choć sam siebie i naukę swoją tem kompromituje...

Z tego wtykania wszędzie idej hurrademokratycznych słyną w Polsce agitatorzy socjalistyczni. Był, naprzykład, taki popularny w Krakowie agitator, niejaki Ignacy Daszyński, który nawet na odczycie z zakresu czystej estetyki umiał w dyskusji rzecz naprowadzić na wybory do parlamentu wiedeńskiego! Kraków, choć zahukany, dobrze tę śmieszność socjalizmu oceniał. Opowiadano więc sobie, między innemi, jak to „pan Ignacy“ oświadczył się pewnej aktorce: „Pani! O, jakżeś piękna! Kocham cię szalenie! Niech żyje równe, tajne, powszechne głosowanie!“. Ale, co jeszcze można uwzględnić w tępym umyśle socjalisty, to już bez apelacji ośmiesza i poniża wykształconego przyrodnika. P. Dembowski byłby o wiele mniej w tym wypadku śmieszny, gdyby, mówiąc o pierwotnikach, zakończył zdaniem, że „każdy z nich ma takie samo prawo do... handlu“, byłby to bowiem zwrot bardziej logiczny i z inspiracją mafji zgodniejszy.

Przykład powyższy, jeden z wielu, poza śmiesznością swą, odsłania nam szkodliwe, destrukcyjne i potężne wpływy masonerji i kierującej nią wszechświatowej mafii żydowskiej. Prawdziwe ona czyni spustoszenia w umysłach skądinąd zdrowych i uczciwych! A teraz przejdziemy do drugiego przykładu—z dziedziny sztuki.

Jeden z ostatnich numerów żydowskiego tygodnika „Wiadomości literackie“ wydawca p. Grycendler poświęcił ni stąd

ni zowąd „naszemu wieszczowi Adamowi“ (cymes!). Pisze tam między innemi poeta pewien—Jan Nepomucen Miller o „Panu Tadeuszu“ słowa następujące:

„Ta szczególna książka, której się, jako „fraszki“ wyrzekł sam poeta, zaraża i kosi dusze zatrutem tchnieniem swego dosytu, sybarytystycznych cnót litewskiego partykularza i samoomamienia optymizmu, usypiającego na laurach kopalnianych doskonałości. Ta książka. która dzień powszedni przemieniła w święto wiecznego ucztowania i tragizm pracy — w rzewny ton idylli;... która cały bezwład przeklętej pamięci saskiej tradycji przyoblekła w najcudowniejszą z możliwych formę artystyczną, ta wkradająca się w serca nasze książka, którą każde dziecko polskie już od lat najmłodszych umie na pamięć ,nią żyje i tyje; ta potylekroć ustokrotniona w czuciu naszem książka utrwaliła, konserwowała pewien typ pasożytniczego życia, które jak zmora tłoczy nas od wieków, od równie nieświętej pamięci „Żywota człowieka poczciwego“ Reja. I pomyśleć tylko, że taki obraz fizjologicznych procesów i próżniaczego gadulstwa staje się dla młodzieży włościańskiej i robotniczej w odrodzonej Polsce typem staropolskiego obyczaju i szczytnej tradycji!“.

W tym sposobie p. Miller w dalszym ciągu szczegółowo rozprawia się z „Panem Tadeuszem“, nazywając go „książką złowrogą“, która „łzawym sentymentem i kłamaną pogodą usypia wolę i przyprusza siwizną“. A wszystko to z punktu widzenia „młodzieży włościańskiej i robotniczej“, o którą tak hurra — dba poeta Jan Nepomucen... i wszystko to w imię dzieci polskich, które na „Panu Tadeuszu“ „żyją i tyją“... (tak jest!) — „tyją“!...

Oto typowa próbka skamandrylnego obłędu, czyli artystycznego hurrademokratyzmu. Myślę, że dalej już zagalopować w głupocie nie można. Nie znaczy to jednak, że p. Millera za beznadziejnego głupca uważam. Sądzę tylko, że zagalopował się w głupotę zdopingowany, jak na targu koń żydowski, krzykiem i batem tej zgrai żydów—Breiterów, Tuwimów, Sternów, Watów, Wittlinów i Grycendlerów, która go obsiadła i gna na pokaz przed zdumionemi oczami jarmarcznej publiczności. „Aj-waj! Co to za rasowy koń polski. Patrzcie, jak galopuje! Hurra! – Jan Nepomucen!“.

Któż nie zna z dni targowych w małym „polskim“ miasteczku np. Słonimie, tej typowej sceny objeżdżania przez kupców żydowskich konia na sprzedaż przeznaczonego? Sprzedaje żyd. Kupić ma chłop. Koń jest na jedno oko ślepy, żebra mu można policzyć, w liszajach i dychawiczny. Zgraja parszywców wychwala jego zalety, a wreszcie najodważniejszy Bereiter dosiada konia, Słonimski łapie go za ogon, Wittliny i Tuwiny okładają biedne zwierzę batami, reszta Grycendlerów podkasuje chałaty i tak wśród przeraźliwego wrzasku w otoczeniu dwóch tuzinów bachorów pędzą przez rynek ku przerażenin przekupek jaj i nabiału. Górą nad nimi spłoszone

stada kur, gołębi i gęsi, dołem kwik prosiąt i kozi bek, a z boku „młodzież włościańska i robotnicza" przygląda się „w odrodzonej Polsce" temu typowi staropolskiego obyczaju i szczytnej tradycji"..

Jak było, tak pozostało... Słonim, Warszawa, szkapa, czy Nepomucen—„co jest?", co za różnica? Wszędzie te same ma każdy handelsman metody. Chłop, czy wogóle goj kupi wkońcu Nepomucena, wpadnie i plunie trzykrotnie, a żydek trzykrotnie zarobi. A przytem, co to za dowcipna finezja żydowska wydać taki „mickiewiczowski" numer „Wiadomości" i tak w galopie ogłupionego konia polskiego opaskudzić „wieszcza narodowego!". To lepsze nawet, niż w rosyjskiej niewoli wysłanie do Dumy petersburskiej matołka Władysława Jagiełły, jako przedstawiciela polskiej stolicy.

Nie mam potrzeby wobec czytelników naszych roztrząsać szczegółowo wszystkich bzdurstw p. Millera. Z punktu widzenia tego hurrademokratyzmu możnaby tak samo oskarżyć i oczernić wszystkie całego świata „Iljady" i „Odysseje". Zgrzany na „Panu Tadeuszu" pan Miller już nie zdoła tego dokonać, chociaż powinien, jeżeli chce być konsekwentny. Lecz nie żądajmy logiki od poety, skoro się z nią wyminąć może nawet uczony przyrodnik, gdy go pogania mafja rabinobankierów świata. I czyż nie miałem słuszności. (za co podobno te żydy się obraziły), gdy „Wiadomościom Literackim" przypisałem kulturę z rogu Chmielnej i Marszałkowskiej? Jakiżbo inny złoty róg bardziej im odpowiada? Róg Złotej i Towarowej? Niech i tak będzie! To nawet jest „demokratyczniej" dla tych odwiecznych handlarzów żywym towarem.

Oto są w najkrószym rysie dwa typowe przykłady hurrademokratyzmu. Lewica polska i masonerja dostarcza nam ich setki, czem niewątpliwie przyczynia szkód naszemu pokoleniu, lecz jednocześnie coraz jaskrawiej przed ogółem polskim obnaża swoją głupotę i łajdacką politykę żydów.

St. Pieńkowski.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—5 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105.

Skrzynka poczt. Nr. 150. — Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Redaktor i wydawca: JAN REMBIELIŃSKI.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.